

Dzień 1/3 – Śledzik po alpejsku

Sunę powoli w głębokim śniegu pod górę. Co kilkanaście kroków sięgam po garść śniegu i z ulgą topię go w ustach. I znów przechodzę kawałek. Byle do tego wzgórza nade mną, tam gdzie ludzi jeszcze przed chwilą widziałem. Od dłuższego czasu byłem sam jak palec i trochę dziwnie mi się zrobiło. Lubię być w górach sam, ale inaczej jest kiedy jest to planowane a inaczej, kiedy się swoją drużynę z własnej winy zgubiło. Dlatego teraz chcę dojść do tej śnieżnej kopuły, chociaż nikogo już na niej nie widzę. Czuję, że to będzie mój limit na dziś, że docierając tam dotrę jednocześnie w pobliże swojej granicy wytrzymałości. Granicę tę chyba sobie nieco na własne życzenie przybliżyłem, ale o tym, jak niemal zdobyłem nominację do nagrody Darwina dojdę za chwilę.



Großer Geiger majaczy na końcu doliny



Dłuuugi marsz



Asia i Sławek na jeziorkach



Dziku wyrzuca, a na pierwszym planie kuchnia Asi



Sławek „dziubie”



I już dobrze, już można się nie ruszać



Widok na Großer Geiger z miejsca naszego biwaku



Na lewo od kamienia poniżej plecaków znajduje się nasza jama



Dzień dobry



Pobudka!

Z Asią i Sławkiem rozjechałem się przy mostku, dokładnie po 15 km marszu doliną Obersulzbachtal. Nosiło mnie i czułem się na tyle mocny, że wydarłem do przodu bez odpoczynku z myślą, że

zajmę miejsce w schronie. Kiedy wchodziłem na tzw. Kees (obszar zajmowany przez lodowiec i jego pozostałości), moi towarzysze byli małymi kropeczkami na tafli zamarznętego jeziora. Do tego momentu miałem z nimi kontakt wzrokowy, ale teraz skręciłem za skały i sunę stromo pod górę. Dopiero teraz czuję, jak opuszczają mnie siły, gdyż od dłuższego czasu nie mam już nic do picia. Torując w śniegu coraz bardziej się w nim zakopuję i coraz wolniej idę. Wreszcie zrzucam plecak i siadam. Dotarłem do punktu, gdzie nie mam już co spalać i w tej chwili muszę coś zjeść. A ponieważ mam dość słodkiego to przypominam sobie o... śledziu w śmietanie. Ze śledziem historia była taka, że w piątek przed wyjściem z domu zerknąłem na datę ważności i okazało się, że jest do niedzieli. Żeby bilans wyszedł na zero to wyjąłem wtedy z plecaka czekoladę a upchnąłem pudełko śledzi. Dziś sobota, dzień przed terminem, więc to znakomity czas by się z nim rozprawić. Ukroiłem sobie dwie kromeczki i nawet masełkiem posmarowałem, wyjąłem sporka i paroma machnięciami wyczyściłem pudełko zagryzając chlebem. Przy drugiej kromce zacząłem się dusić. Ilość soli w tej rybnej porcji spowodowała taką suchość w ustach, że nie byłem w stanie przełknąć nawet okruchów. Ratunkiem był śnieg, który zacząłem wpychać do ust garściami.

Kiedy doszedłem do siebie, założyłem plecak i ruszyłem w głębokim śniegu pod górę. Choć przed chwilą mało mnie filet nie zabił, to właściwie czuję się bezpiecznie. Mam ze sobą sprzęt biwakowy więc mógłbym się tu i teraz położyć i do rana nie wstawać. Nie wiem tylko jak zniosę męczące mnie pragnienie, bo sprzęt do gotowania i topienia śniegu niesie Asia.

Droga musiała ewidentnie inaczej prowadzić, więc już nie liczę, że mnie moja ekipa dogoni. W najgorszym wypadku oni zabiwają osobno, ja osobno a jutro spotkamy się np. w schronie. Szkoda tylko, że zasięgu nie ma, można by się było wzajemnie uspokoić przed nocą, że wszystko właściwie jest okej.

Dowłokłem się do kopułki na wysokości 2400 metrów. Ściągam plecak i wiem, że go już dziś nie założę. Z drugiej strony wzgórza pojawiają się narciarze. Dowiaduję się, że wszyscy oni zamierzają nocować w schronie i że niestety nikt z nich nie widział moich towarzyszy. Szybko oddalają się i od tej pory wokół mnie panuje niezwykła cisza, przepełniona słońcem i zapachem śniegu, czyli taka, jaką kojarzę jedynie z popołudniowym słońcem na rozgrzanym, rozmiękłym lodowcu. Wdrapuję się na skałę, siadam i na dłuższą chwilę zamykam oczy. Natychmiast ciało i dusza mi się uspokajają i staje się dla mnie oczywiste, że nie spędzę tej nocy samemu.

Zeskakuję ze skały i idę wzdłuż wzgórza wypatrując przyjaciół. Jeśli narciarze ich nie mijali tzn. że pewnie idą od drugiej strony, podobnie jak ja przyszedłem. I nie mylę się, gdyż szybko dostrzegam nieruchome punkty. Czekam do momentu jak zaczną się posuwać i wiem już, że to „moi”. Schodzę na przełaj, najkrótszą drogą, żeby się z nimi spotkać. Ze szczęścia chcę zabrać od Asi plecak ale odmawia – chce go donieść sama do końca. Wspólnie podchodzimy pod kamień, gdzie zostawiłem swój plecak. Proponuję, żeby spędzić tu noc, mając na uwadze zmęczenie i ilość narciarzy, jaka szła w kierunku schronu Kürsingerhütte. Propozycja zostaje przyjęta.

Z zawrotami głowy zaczynam kopać jamę śnieżną, ale szybko opadam z sił. W tym, nazwijmy to „krytycznym” momencie zaczynamy działać jak zgrana ekipa: Asia rozkłada garnki i topi śnieg, Sławek kładzie się na śniegu i dłubie łopata. Kiedy potrzebuje odpoczynku, to wtedy ja wybieram śnieg i potem znowu – Sławek kruszy ścianki, a ja wybieram. W międzyczasie Asia podaj nam kubki z wodą i jedzenie. Dzięki tak sprawnej akcji mamy sporych rozmiarów podkop, w którym mieści się Sławek i Asia. Ja zamykam swoim ciałem szerokie wyjście jamy mając wciąż nad sobą rozgwieżdżone niebo. Moi towarzysze musieli się już nieco zregenerować, bo snują plany na jutro. Ja już nie odpowiadam, wyczerpany zasypiam.

Biwak w jamie – wydaje się być pójściem po najmniejszej linii oporu. No bo skoro np. nie mamy już siły iść, to czask prask i śpimy w jamie. To ryzykowne podejście, zważywszy ile należy włożyć wysiłku w przygotowanie takiego noclegu. Szczególnie, kiedy pogoda nie pozwala na pójście na łatwiznę i po prostu położenie się na śniegu albo w jakimś zagłębieniu. Wystarczą minimalne opady śniegu albo wiatr i porządna jama może okazać się zbawienna. Wykopanie jej jednak może wymagać nawet paru godzin ciężkiej pracy. Często takie przedsięwzięcie kończy się w najlepszym wypadku mokrymi rękawiczkami, śniegiem za kołnierzem i w spodniach. Pamiętajcie, by na taką akcję zachować siły. Większa liczba ludzi („siły roboczej”) wcale nie musi być tutaj ułatwieniem – im więcej osób, tym potrzeba więcej miejsca.

Budzę się o 1 w nocy i wydaje mi się, że jest dzień. Księżyc z taką siłą oświetla okolicę, że nie mogę się powstrzymać, by nie poświęcić godziny snu dla kilku nocnych zdjęć. Nie jest to duży problem, gdyż noc jest ciepła i bezwietrzna. Do zbudowania statywu wykorzystuję zamrożnięte kawałki śniegu, więc mróz był na pewno, ale nie sądzę by był on większy niż te kilka stopni poniżej zera. Kiedy po zrobieniu zdjęć kładę się do śpiwora niemal natychmiast zasypiam.

Ranek wita nas piękną pogodą. Zapraszam do [opisu dnia drugiego](#).

tekst: **Dziku**